

POWIEŚĆ i NOWELA

*bezpłatny dodatek dla prenumeratorów „Świata”
do N-ru 23-go z dnia 8.VI.1935 r.*

ANATOL FRANCE

DAMA W BIAŁEM

Wydane ostatnio przez Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie „Wspomnienia Mego Przyjaciela” A. France’a są czarującą opowieścią wielkiego francuskiego pisarza o latach dziecięcych. Ironja graniczy w nich z liryzmem, a właściwa France’owi świetność stylu nie zaćmiewa bynajmniej niewinnego uroku, jaki opromienia tę serję opowiadań. Doskonały przekład Karskiego zachował wszystkie wartości myślowe i stylistyczne autora. Z tej przemiłej książki, która powinna stać się ulubioną lekturą młodzieży i dorosłych, podajemy dziś rozdział „Dama w białem”.

W tych czasach w naszym domu mieszkaly dwie panie, z których jedna ubrana była zawsze biało, druga zaś czarno.

Nie pytajcie mnie, czy były młode; to przegraczało moje wiadomości. Ale wiem, że słicznie pachniały i miały zawsze różne lakocie. Moja matka, zwykle bardzo zajęta, nie lubiła stykać się z sąsiadami i rzadko u nich bywała. Ja natomiast często do nich chodziłem, zwłaszcza w porze podwieczorku, gdyż Pani w czarnem dawała mi ciastka. Składałem więc sam te wizyty. Droga do tych pań prowadziła przez podwórze. Moja matka pilnowała mnie przez okno i stukala w szyby, gdy zbyt długo przyglądałem się stangretowi, czyszczącemu konie. Wchodzenie na schody z żelazną poręczą, za wysokie dla moich małych nóżek, było pracą nielada. Czekala mnie jednak sowita nagroda za trud z chwilą, gdy zjawiłem się w pokoju mych przyjaciółek, gdyż znajdowałem tam mnóstwo rzeczy, które wywoływały mój zachwyt. Ale nie nie mogło dorównać siedzącym na kominku po obu stronach zegara dwum porcelanowym Chińczykom, którzy kiwali głowami i wysuwali języki. Dowiedziałem się, że te figurki przywieziono z Chin i przyrzekłem sobie tam pojechać. Cała rzecz polegała na tem, aby zaprowadziła mnie tam moja niania. Byłem przekonany, że Chiny leżą za Łukiem Tryumfalnym, ale nie udało mi się nigdy dotrzeć tak daleko.

W pokoju pań był także wzorzysty dywan, po którym przewracałem się z rozkoszą, i miękka głę-

boka kanapka, służąca mi czasem za łódkę, a czasem za konia lub powóz.

Pani w czarnem, nieco tłustawa, była bardzo łagodna i nigdy się na mnie nie gniewała. Pani w białem miewała nieraz wybuchy zniecierpliwienia i porywczosci, ale umiała się tak słicznie śmiać. Wszyscy troje żyliśmy w wielkiej zgodzie. Ułożyłem sobie, że do pokoju Chińczyków tylko ja jeden będę miał wstęp. Pani w białem, której zakomunikowałem to postanowienie, wyśmiała mnie trochę, ale ponieważ nalegałem, obiecała mi wszystko, czego pragnąłem.

Obiecała. A jednak pewnego dnia zastałem na mojej kanapie jakiegoś pana, który zagłębił nogi w mój dywan i z wielce zadowoloną miną rozmawiał z *memi paniami*. Dał im nawet jakiś list, który mu zwróciły po przeczytaniu. To mi się nie spodobało; poprosiłem o wodę z sokiem, ponieważ miałem pragnienie i chciałem zwrócić na siebie uwagę. Istotnie pan spojrzał na mnie.

— To nasz mały sąsiad — objaśniła Pani w czarnem.

— Zapewne jednak, prawda? — spytał pan.

— Rzeczywiście — odparła Pani w białem. — Ale dlaczego przyszło to panu na myśl?

— Ponieważ wygląda na dziecko bardzo rozpieszzone. Jest niedelikatny i ciekawy. Niech pańi spojrzysz, jak wytrzeszcza oczy.

Chciałem tylko lepiej go widzieć. Nie myślę sobie schlebiać, ale po tej rozmowie doskonale zro-

zumiałem, że Pani w białym ma męża w jakimś dalekim kraju, że ten pan przywiózł list od owego męża, że dziękowano mu za jego uprzejmość i winszowano, iż został mianowany pierwszym sekretarzem. To wszystko mnie nie zadowoliło; wychodząc, za karę, nie chciałem pocałować Pani w białem.

Tego dnia przy obiedzie spytałem ojca, co to jest sekretarz. Ojciec nie odpowiedział mi, a matka objaśniła, że jest to mebel, w którym się chowa papiery. Czy można to zrozumieć? Położono mnie do łóżeczka, a potwory z okiem pośrodku policzka snuły się dokoła mnie, krzywiąc się bardziej niż zwykle.

Jeśli sędzicie, że nazajutrz myślałem jeszcze o panu, spotykającym u Pani w białym, mylicie się, gdyż wykreśliłem go prędko z pamięci. Ale człowiek ten miał odwagę zjawić się znów u moich pań. Nie wiem, czy to było w dziesięć dni, czy w dziesięć lat po pierwszej wizycie. Dziś zdaje mi się, że minęło raczej dziesięć dni. Jakże on mógł zajmować moje miejsce! Przyglądałem mu się uważnie i nie widziałem w nim nic sympatycznego. Miał lśniące włosy, czarne wąsy, czarne faworyty, wygolony podbródek z dołeczkiem pośrodku, smukłą figurę, śliczne ubranie i przedewszystkiem minę zadowolenia z siebie. Mówił o gabinecie ministra spraw zagranicznych, o sztukach teatralnych, o modach, nowych książkach, wieczorkach i balach, na których daremnie szukał tych pań. A one go słuchały. Czy to była rozmowa? Czyż nie mógł mówić, jak Pani w czarnem, ze mną o krajach, gdzie góry są z marcepanów, a rzeki z limonady?

Po jego wyjściu Pani w czarnem powiedziała, że jest czarującym młodzieńcem. Na to ja odparłem, że jest stary i brzydki, co wywołało serdeczny śmiech Pani w białym. A przecież to wcale nie było śmieszne. Ale ona śmiała się z tego, co mówiłem, albo nie słuchała wcale moich słów. Pani w białym miała — prócz tych dwu — jeszcze trzecią wadę, która doprowadzała mnie do rozpaczki: płakała, płakała, płakała. Matka powiedziała mi, że dorosłe osoby nigdy nie płaczą. Ale to dlatego, że nie widziała tak, jak ja, Pani w białym w fotelu, z listem na kolanach, z przechyloną głową i chusteczką przy oczach. Ten list (dziś mógłbym przysiąc, że to był anonim) sprawiał jej wiele zmartwienia. Szkoda, gdyż umiała się tak serdecznie śmiać. Po dwóch wizytach tego pana przyszło mi do głowy poprosić o jej rękę. Powiedziała mi, że wprawdzie ma dużego męża w Chinach, ale może mieć małego na quai Malaquais; wszystko zostało ułożone, a ja dostałem ciastko.

Ale pan o czarnych faworytach przychodził bardzo często. Zjawił się pewnego dnia, kiedy Pani w białym mówiła mi, że każde spowodować dla mnie z Chin błękitne rybki i wędkę, abym mógł je łowić. Ze spojrzenia, jakieśmy na siebie rzucili, nie trudno było wywnioskować, że nie bardzośmy się lubili. Pani w białym powiedziała mi, że ciocia (miała na myśli Panią w czarnem) wyszła za sprawunkami do „Dwóch Chińczyków“. Widziałem stojących na kominku dwóch porcelanowych Chińczyków i nie mogłem zrozumieć, że trzeba było dopiero wyjść, aby cośkolwiek kupić. Ale codziennie zdarza się tyle rzeczy trudnych do pojęcia. Pan nie był wcale zmartwiony nieobecnością Pani w czarnem i powiedział mojej przyjaciółce,

że chciałby z nią pomówić poważnie. Pani w białym usiadła wygodnie w fotelu i uśmiechając się zalotnie, oświadczyła, że słucha. Pan spoglądał na mnie zmieszany.

— Ten chłopczyk jest milutki — rzekł, gładząc mnie po głowie, — ale...

— To mój mały mąż — powiedziała Pani w białym.

— Czy nie mogłaby pani odesłać go do matki? Tego, co chcę pani powiedzieć, nie powinien słyszeć nikt obcy.

Ustąpiła mu.

— Idź się bawić do jadalni, kochanie, i wróć dopiero, gdy cię zawołam.

Wyszedłem z ciężkim sercem. A przecież jadalnia była bardzo ciekawa ze względu na obraz na zegarze, przedstawiający górę nad brzegiem morza i kościół pod błękitnym niebem. Kiedy wybijała godzina, okręt kołysał się na falach, lokomotywa z wagonami wyjeżdżała z tunelu, a balon unosił się w powietrzu. Ale gdy człowiek ma smutek w duszy, nie się doń nie uśmiecha. Zresztą obraz na zegarze nie poruszał się. Pono lokomotywa, okręt i balon ukazywały się co godzinę, a godzina to strasznie długo! W każdym razie tak mi się zdawało w tamtych czasach. Na szczęście, kucharka przyszła po coś do kredensu, a widząc, że jestem smutny, dała mi trochę konfitur, które uśmierzyły cierpienia mego serca. Ale kiedy nie było już konfitur, znów pograżyłem się w smutku. Jakkolwiek zegar nie wybił był jeszcze godziny, zdawało mi się, że całe wieki zaciążyły nad moją smętną samotnością. Chwilami z sąsiedniego pokoju dobiegał mnie głos pana: prosił o coś Panią w białym, a potem gniewał się na nią. Dobrze jej tak! Ale czy to się nigdy nie skończy? Przyglądałem nos do szyby, wyciągałem włosie z krzesła, rozgrzebywałem dziury w tapecie, wyrwiałem frendzle z firanek, czy ja wiem co jeszcze robiłem? Nuda to straszna rzecz. Wreszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać, zbliżyłem się bez szelestu do drzwi salonu i podniosłem rękę, aby nacisnąć klamkę. Wiedziałem, że popełniam zły uczynek, ale przejmowało mnie to pewną dumą.

Otworzywszy drzwi, zobaczyłem, że Pani w białym stoi oparta o kominek. Pan, klęcząc u jej stóp, otwierał ramiona, jakgdyby chcąc ją objąć. Był bardziej czerwony, niż kogucik grzebieni. Oczy wychodziły mu z orbit. Jak można się doprowadzić do takiego stanu?

— Niech pan da spokój — mówiła Pani w białym, różowsza niż zwykle i bardzo podniecona. — Proszę przestać, skoro pan mówi, że mnie pan kocha... Proszę przestać i nie kazać mi żałować...

Zdawało się, że się go boi i nie ma już siły. Ujrzawszy mnie, zerwał się szybko i w pewnej chwili miałem wrażenie, że chętnie wyrzuciłby mnie przez okno. Ale ona, zamiast mnie złać, jak przypuszczałem, przytuliła mnie mocno, nazywając „swoją pieszczołką“.

Zaniósł mnie na kanapę i długo cicho płakała, oparłszy głowę o mój policzek. Byliśmy sami. Aby ją pocieszyć, powiedziałem, że pan z faworytami jest paskudny i że nie miałaby napewno zmartwienia, gdyby była została ze mną sama, jak to było umówione. Ale swoją drogą uważałem, że dorosłe osoby bywają nieraz dziwne.

Zaledwieśmy się uspokoiłi, weszła Pani w czarnem, obładowana paczkami.

Spytała, czy nie przychodził kto.

— Był pan Arnould — odparła spokojnie Pani w białem — posiedział tylko chwileczkę.

Co do tego, wiedziałem, że to kłamstwo, ale dobry duch Pani w białem, który snąć roztoczył nademną skrzydła, położył mi swój niewidzialny palec na ustach.

Nie spotkałem już pana Arnould i moja miłość dla Pani w białem nie została w niczem zmącona; zapewne dlatego nie zachowałem o niej wspomnienia. Wczoraj jeszcze, po upływie trzydziestu lat, nie wiedziałem, co się z nią stało.

Wczoraj wybierałem się na bal do ministerjum spraw zagranicznych. Zgadzałem się z lordem Palmerstonem, który twierdził, że życie byłoby znośne, gdyby nie przyjemności. Moja codzienna praca nie wyczerpuje ani moich sił ani inteligencji, zczasem zdołałem nawet interesować się nią. Jedynie oficjalne przyjęcia przygnębiają mnie. Wiedziałem, że bal u ministra będzie nudny, wiedziałem, a jednak poszedłem, gdyż człowiek myśli mądrze, a postępuje absurdalnie; to już leży w naturze ludzkiej.

Zaledwie wszedłem do wielkiej sali, zapowiedziano ambasadora X. z małżonką.

Kilkakrotnie już spotykałem ambasadora, którego delikatna twarz nosiła piętno znużenia, niekoniecznie mającego swe źródło w pracy dyplomatycznej. Mówiono, że miał burzliwą młodość i dziś jeszcze w męskich kółkach opowiadają o nim różne pikantne anegdoty. Jego pobyt w Chinach

przed trzydziestu laty szczególnie obfitował w przygody, o których chętnie się mówi w zamkniętem gronie przy czarnej kawie. Małżonka ambasadora przekroczyła już pięćdziesiątkę. Była cała ubrana czarno, wspaniałe koronki otulały przekwitałą jej urodę, której resztki były jeszcze widoczne. Byłem ogromnie zadowolony z zawarcia tej znajomości, gdyż nadzwyczaj lubię prowadzić rozmowy ze starszymi paniami. Mówiliśmy o wielu rzeczach przy dźwiękach muzyki tanecznej; mimochodem wspomniała mi, że mieszka w starym domu na quai Malaquais.

— To pani była Panią w białem! — zawołałem.

— Rzeczywiście, ubierałam się zawsze białem.

— A ja byłem pani małym mężusiem.

— Jakto, pan jest synem tego zacnego doktora Nozière? Lubił pan bardzo ciastka. Czy lubi je pan jeszcze dziś? Proszę więc nas odwiedzić. Co sobota zbierają się na herbatce bliscy nasi znajomi. Ha, jakże to się ludzie spotykają!

— A Pani w czarnem?

— Dziś ja jestem Panią w czarnem. Moja biedna ciotka umarła w pierwszym roku wojny. W ostatnich czasach często pana wspominała.

Podczas gdyśmy tak gawędzili, jakiś pan z białymi faworytami skłonił się z szacunkiem przed ambasadorową z wdziękiem pięknego staruszka. Zdawało mi się, że poznałem jego podbródek.

— Pan Arnould — przedstawiła — nasz stary przyjaciel.

A. ZORICZ

19)

POWIEŚĆ LEKKOMYŚLNA

Złość ogarnęła Wieszkę, kiedy ten idiotyczny gwizdek przerwał tak ważną rozmowę. Lecz natychmiast pomyślał z ulgą, że dobrze się stało, że nie doprowadzili tej rozmowy do końca, bo wtedy trzeba byłoby dać Głaszy jakąś odpowiedź, a tymczasem sam nie wiedział, co ma robić.

Znowu zaczął wyrzucać sobie lekkomyślność; uważał, że sytuacja gmatwa się coraz bardziej.

W tej chwili weszła do pokoju Wiera. Od owego pamiętnego dnia, kiedy była proszona na obiad do Ziablikowowych i zaprzyjaźniła się z Żorżem, — zaczęła się zmieniać z nieopisaną szybkością. Z początku, kiedy pierwszy raz przebrana w elegancką suknię, ofiarowaną przez Ziablikowową, pojechała z Żorżem na koncert, — a nawet później, gdy zaczęła z nim spędzać wieczory i rozmawiać o rzeczach z koła jego zainteresowań, — powiedziała sobie, że tylko gra rolę, którą wzięła na siebie dla przysłużenia się sprawie ogólnej. Starła się też wmówić w siebie, że wszystkie nowe uczucia, które ją teraz zaczynały opanowywać, — to tylko przypadkowe chwilowe nastroje. Jednak, gdy zdjęła piękną suknię i zpowrotem włożyła bluzę, przepasaną rzemieniem, — strój ten wydał jej się ohydny. A gdy nazajutrz z powodu zebrania jachejki musiała odrzucić zaproszenie Żorża na zabawę, — jakże nudnym i suchym wydał jej się referat, którego musiała wysłuchać, i jak bardzo żałowała, że „trzeba“ było iść

tu a nie tam. Po zebraniu Żorż odwiózł ją taksówką do domu, a gdy nazajutrz wraz z towarzyszkami jechała tramwajem na zebranie jednego z licznych komsomolskich kółek — po raz pierwszy zauważyła ciasnotę i brud, panujący w tramwaju i aż otrząsnęła się z obrzydzenia... Nie zdawała sobie sprawy z tego, co się stało, lecz myśli jej, dotąd skupione dokola postulatów partyjnych, które — zda się weszły jej w krew, nagle zmieniły zupełnie kierunek. Zbudziły się w niej uczucia, dotąd zupełnie nieznane. Żorż zabierał ją do teatru, do kina, na balet, na koncerty, chodził z nią z wizytami. Zapoznał ją z mnóstwem młodych ludzi, czeszących się z przedziałem, którzy na przywitanie całowali ją w rękę, — i eleganckich, strojnych, roztańczonych dziewcząt. Zmuszał matkę, by dostarczała jej sukien i zapraszała ją na obiady. Znosił do jej pokoju całe stosy różnych drobiazgów: dywaników, obrazków, poduszek, figurek. Przed oczyma jej otworzył się nagle nowy świat. Dotąd, nie znając go, pogardzała nim teoretycznie — uważając go za coś niższego od jej świata, coś marnego i nieciekawego. W istocie rzeczy nie myliła się co do tej oceny. A jednak poznawszy go, była tak olśniona jego zewnętrznym blaskiem, iż znowu zaczęła wmawiać w siebie, że wcale nie wszystko jest tu tak złe, jak sobie wyobrażała; że nawet tutaj można znaleźć dużo rzeczy ciekawych i pouczających. Może była to reakcja po latach

sztucznej ascezy, może odezwał się w niej instynkt kobiecy — tak czy inaczej zbudziło się w niej nagle pragnienie spokoju, wygod, komfortu — wszystkiego tego, czego już oddawna nie zaznała, o czym zachowała tylko mgliste wspomnienia z lat dziecińczych. Okazało się nagle, że wszystko to istnieje jeszcze teraz, i to tuż obok niej. Coraz częściej przychodziło jej na myśl, że choć wszystko poświęca dla idei, której się oddała, to jednak nikt nie oceni należyście jej pracy, nikt nie zauważy ofiar, które ponosi, — a więc ofiary te nie mają żadnego sensu. Wprawdzie w chwilę później robiła sobie wyrzuty za takie myśli, stwierdzała, że pracować należy dla sprawy, a nie po to, by zyskać poklask, ale brzmiało to już nieszczerze.

Żorż utrzymywał zawsze, że przedewszystkiem myśleć należy o sobie, gdyż w przeciwnym razie życie stanie się szare i smutne. Teraz wydawało się Wierze, że takimi właśnie były wszystkie ostatnie lata jej życia, spędzone wśród szarej pracy codziennej. Dawniej przywykła myśleć i mówić, że praca jest jedynym celem życia, że dla tego celu należy się wyrzec wszystkiego, że jest to obowiązkiem każdego człowieka. Żorż rozumował inaczej: że raz się tylko żyje, więc należy brać z życia wszystko, co się da. Teraz Wiera również zaczynała tak myśleć. Oto mija rok za rokiem, młodość przechodzi, a ona dotąd nie zdobyła nic dla siebie, nie zaznała szczęścia osobistego. Odkąd straciła rodzinę, nikt nie troszczył się o nią, o jej wygodę, dobrobyt. Towarzysze jakoś nie umieli tego robić, — zresztą sami żyli z dnia na dzień, jakby na postojach. Dopiero Żorż dał jej to, do czego podświadomie tęskniła: na każdym kroku otaczał ją troskliwością, uprzedzał każde jej życzenie, i choć dotychczas w jej języku nazywało się to „reminiscencją feudalnej romantyki“, to jednak z każdym dniem uwielibienie, jakie jej okazywał, podobało jej się więcej. W środowisku, w którym żyła dotąd, nikt nigdy nie mówił jej, że jest piękną, — nie było to przyjęte; zresztą koledzy bali się jej trochę, — znali przecież jej surowe zasady. Żorż zaś powtarzał jej to przy każdej sposobności, — i teraz, gdy coraz częściej przeglądała się w lustrze, rozumiała, że naprawdę jest piękna, i że ta uroda, — niepielegnowana, pozbawiona odpowiedniej oprawy, — nie zwraca niczyjej uwagi. Więc nie stawiała już oporu, gdy Ziablikowowa ofiarowywała jej swe usługi. Przeciwnie, sama z lubością przeglądała najnowsze żurnale mód, wybierając strojne fasony sukien. Kiedyś nawet, zamknąwszy się w pokoju, ukarminowała łwargi i podmałowała oczy. Co prawda, starła zaraz farbę, jednak zauważyła, że jej z tem bardzo ładnie i w duchu przyznała rację Żorżowi, który twierdził, że karmin harmonizuje z jej śniadą cerą.

I wogóle, chociaż często się z nim sprzeczała i przeciwstawiała się temu, co mówił, szukając obrony w pancerzu, ukutym z cytów dzieł partyjnych, to jednak zaczynała mówić i myśleć tak, jak on.

Pokochała go, a ponieważ nie znała dotąd uczucia miłości, zbudziło się ono w niej gwałtownie, opanowało ją całą i zamknęło oczy na wszystkie złe, nędzne, marne cechy jego charakteru. Widziała tylko, że jest piękny i że ją ubóstwia — poza tem nie istniało dla niej nic. Wprawdzie nie mogła nie widzieć ogromu jego egoizmu i wyrachowania; lecz nie brała tego zbyt poważnie. Wma-

wiała w siebie, że to tylko przypadkowe naleciałości, które należy przypisać wpływowi rodziny. Istotnie, Ziablikowowie byli wstrętnei, niecznośni, lecz Żorż zapewniał, że bardzo mało ma z nimi wspólnego, i że odejdzie od nich, jak tylko warunki materialne na to pozwolą. Uspokajało ją to zapewnienie — myślała, że wtedy Żorż wyzbędzie się wszystkich złych cech charakteru, choć w rzeczy samej chciał odejść właśnie po to, by mogły się one swobodniej rozwinąć. Nie rozumiała dobrze ani jego zachowania się, ani też jego filozofii. Mówił, że ożeni się tylko z komunistką; — uważała to za dowód ideowości z jego strony; pouczał, by nie lekceważyła spraw komsomolu i nie opuszczała zebrań w jacejce — myślała więc, że mógłby być wzorem dla niejednego komsomolca. Często powtarzał, że razi go pusty śmiech, rozlegający się w mieszkaniu komsomolców, bo teraz nie czas na bawienie się, — trzeba pracować poważnie. Jakże bardzo harmonizowało to z własnymi jej myślami z ubiegłych czasów!

Tania, pomna swej rozmowy z Żorżem, która pozostawiła po sobie taki niesmak, widząc, na co się zanosi, próbowała z nią pomówić i odsłonić właściwe oblicze jej ukochanego. Lecz było to bezcelowe. Z początku Wiera odpowiadała, że pomiędzy nimi niema nic, że gra tylko rolę, narzuconą jej przez komsomolców, że obojętną jest dla niej zarówno jego powierzchowność, jak treść wewnętrzna; że robi to, co do niej należy i odejdzie. Lecz gdy miłość jej do Żorża stała się widoczną dla otoczenia, trzeba było porzucić tę taktykę. Sama rozumiała, że zatarła się linja demarkacyjna, odgraniczająca tę rzekomą rolę od rzeczywistości, i że nikt nie pozwoli sobie wmówić, że jest to tylko „rola“. Wtedy zaczęła pozować na misjonarza, nawracającego poganina. Przyznawała, że ma on dużo wad, ale rzeczą prawdziwego komsomolca jest wpływać na otoczenie i przerabiać je, a nie wyłącznie obserwować i krytykować. Więc i ona chce na niego wpłynąć — wypłenić złe cechy i dlatego utrzymuje z nim stosunki. Wierzyła w to wszystko sama, albo też starała się wmówić w siebie, że wierzy, by zagłuszyć głos wewnętrzny, który mówił, że to wszystko jest zmyślane, sztuczne, narzucone, jak sztuczną była dawniej jej rola ascetki, i że poprostu pociąga ją to spokojne, wygodne, syte życie, które tak nagle się przed nią otworzyło. Później jednak musiała zarzucić i tę taktykę, bo zamiast wywierać wpływ na niego, sama ulegała jego wpływowi i w oczach sąsiadów zmieniała się na niekorzyść. Sytuacja jej stawała się niewyraźna. Teraz poprostu zaczęła unikać rozmów z towarzyszami, bo nie wiedziała, jak wybrnąć ze swej kłopotliwej pozycji.

Pociągał ją Żorż i cały jego tryb życia, tak różny od tego, które sama dotychczas prowadziła. Nie mogła już stłumić w sobie tych pragnień, lecz jednocześnie nie chciała się do nich przyznać otwarcie. Najbardziej irytowało ją, że teraz rolę z Tanią się zmieniły. Tania, którą zawsze uważała za istotę płochą i lekkomyślną, czyni jej wymówki, — jej, — otoczonej zawsze nimbem purytańskiej powagi. Jakże przykro było spadać z piedestału, na który wzniosła ją ogólna opinia towarzyszy. Lecz jak się na nim utrzymać? — Chyba kosztem wyrzeczenia się wszystkich nowych ponęt życia; ale na to już się zdobyć nie mogła i nie chciała. Starła się wynaleźć jakieś wyjście, jakiś złoty

środek: żyjąc już wewnątrz nowem życiem, starała się zachować pozory. Udawała, że nic się właściwie nie zmieniło, myśląc, że w ten sposób będzie mogła utrzymać zdobyte dawniej pozycje. Lecz wysiłki jej szły na marne, — sprzeczności nie dały się pogodzić. Teraz już zainteresowania jej biegły innym torem; nie wystarczał jej ciasny krąg jej codziennego życia i obowiązków komsomolskich. Wypełniała je wprawdzie w dalszym ciągu, lecz bez żadnego zapалу — wszystko to wydawało jej się małym, nudnym, bezbarwnym. Całe dotychczasowe środowisko — młodzież komsomolska, w zestawieniu z nowymi jej znajomościami, — wydało jej się szarem, nieciekawym. Raził już ją ich sposób ubierania się, styl i ton, jakim przemawiali. Zaczęła więc unikać ich towarzystwa — odsuwała się od nich coraz dalej. Dawniej trudno było wyciągnąć ją z lokalu jacejki, — teraz uciekała stamtąd pierwsza, ledwie mogąc wysiedzieć do końca zebrania lub obowiązkowego dyżuru. Czula się jak uczeń, z niecierpliwością wychekujący dzwonek podczas nudnej lekcji. Lecz nie opuszczała zebrania, i tak jak dawniej pierwsza zabierała głos w dyskusji: Żorż powtarzał stale, że spraw tych lekceważyć nie wolno...

I Tania, i Wieszka, i Michiejew rozumieli, że dzieje się z nią coś niezwykłego. Z początku usiłowali odciągnąć ją od Żorża, strojów i zabaw, — ale gdy wszystkie próby zawiodły, poczuli, że w ich wzajemnych stosunkach tworzy się rysa, pogłębia się coraz bardziej i odsuwa ich od siebie coraz dalej.

Z początku wydało im się wprost niemożliwym, by w człowieku mogła zajść taka zmiana, przytem tak szybko. Wiera zmieniała się z dnia na dzień. Jeszcze bardziej zdumiewało ich to, że tu właśnie szło o Wierę, którą uważali niemal za doskonałość. Wkrótce jednak zaczęli się inaczej zapatrywać na nią: domyśliła się, że właśnie teraz doszła do głosu prawdziwa jej natura, — i sami dziwili się, że dotąd nie wyczuwali fałszu w jej słowach i czynach, w oklepanych komunałach, które powtarzała na każdym kroku, — w całym jej życiu, — że tylko pokpiwali z nich dobroduszenie, bez cienia złośliwości.

Tani stawały w pamięci dawne bunt i towarzysząca im stale skrucha wobec Wiery, przed którą się ze wszystkiego otwarcie spowiadała, uważając ją za swoją kierowniczkę. Ogarnęło ją poczucie doznanego zawodu i krzywdy — wydawało jej się, że została przez Wierę oszukana.

Zerwanie z Wierą nappełniało ich serca smutkiem i bólem. Wszyscy przecież przywykli uważać ją za wypróbowaną towarzyszkę, za przyjaciela, — i nagle taka niespodzianka. Wszyscy oni cierpieli z tego powodu, ale najwięcej cierpiał Wieszka, bo w grę wchodziło tu także i osobiste uczucie. Co prawda w ostatnich czasach wszystko tak dziwnie poplątało się w jego duszy, że już sam nie wiedział, kogo więcej kocha: Wierę czy Glaszę, która ostatnio tak niepostrzeżenie weszła w jego życie. W każdym razie sądził, że uczucie jego dla Wiery jest jeszcze silne, i że gdy Wiera odejdzie, on poczuje się jakgdyby osieroconym. Ta myśl przygnębiała go jeszcze więcej. Nie mógł też pogodzić się z tem, że odległość pomiędzy nią a nimi wszystkimi wzrasta z każdym niemal dniem. Choć wczu-

wał coraz wyraźniej oschłość w jej tonie i w całym zachowaniu się z dawnymi towarzyszami, i choć bolało go, że zetraca ona swe oblicze komsomolki, — nie mógł jednak uwierzyć, że odejdzie od nich i od niego na zawsze. Wydawało mu się, że to wszystko minie, jak zły sen, że dość porozmawiać z nią jakoś cieplej, serdeczniej, a ona stanie się znowu dawną Wierą.

Ale rozmowa jakoś nie kleiła się.

Pewnego razu ujrzawszy ją w sali, ucieszył się, że może teraz nadarza się sposobność do pomówienia. Ale Wiera nie zauważyła go: stanęła przed lustrem, przyglądając się z zajęciem odbiciu swej postaci. Ubrana była w nową suknię z fruwakami, ostatni wyraz mody, — na nogach miała safjanowe pantofelki.

— Wiera! — przywitał ją łagodnie, zbliżając się do niej.

Drgnęła i odwróciła się.

— A — rzekła obojętnie, — jak się masz!

— Nie widać cię nigdzie, Wiero. Dlaczegoś nie była onegdaj na wieczorku komsomolskim?

— Nie zdążyłam. Byliśmy z Żorżem w odwiedzinach u znajomych i zatrzymano nas.

Odczuł ostry ból w sercu, ale zapanował nad sobą.

— Wczoraj także czekaliśmy na ciebie.

— Czy wczoraj było coś ważnego w jacejce?

— Nie, tak prosto.

— Wczoraj byliśmy z Żorżem na koncercie Tamary Ceretelli.

Dziwnie brutalnym i okrutnym wydało mu się to ciągle powtarzanie imienia Żorża.

— Nie lubisz przecież widowisk, pozbawionych wyraźnego oblicza klasowego.

— Oczywiście. To jest... nie! Właściwie... tak!

Odwróciła się niechętnie, udając, że poprawia fałdkę na sukni.

— Zmieniłaś się bardzo w ostatnich czasach, Wiero, — rzekł cichym głosem.

— Znowu to samo! — W głosie jej zabrzmiał gniew. — Sto razy już to słyszałam! — Najpierw Tania, teraz znów ty. Czego wy odemnie chcecie? Ostatecznie jestem już dorosła i sama wiem, co robię. Proszę, byście mi dali spokój.

— Dobrze. Chciałem ci tylko powiedzieć, że będziemy mieli teraz ciekawe zebrania. Wszliśmy w kontakt z niemieckimi towarzyszami i okazuje się...

— Niepotrzebnie zwężili w ramionach! — rzekła nagle z niepokojem, poprawiając przed lustrem suknię.

Wieszka speszony zamilkł. Pomyślał przytem, że Glasza w takim wypadku nie przerwałaby mu, lecz wysłuchała do końca, a potem zasypałaby go tysiącem pytań.

Wiera odwróciła się i skierowała się ku drzwiom.

(d. c. n.)

(Przekład H. Winawerowej).

GŁOS Z ZA ŚWIATA

V

Nazajutrz odpowiedź pani Manchon poszła do Semur. Razem z nią Lapirotte rzuciła do skrzynki pocztowej drugą kopertę również zaadresowaną do Semur. Po powrocie zwróciła się do swej tyranki z zapytaniem, czy nie mogłaby wyjątkowo otrzymać 48 godzin, aby w końcu tygodnia oddać przysługę jednej ze swych krewnych. Pani Manchon była pogrążona w jednej z tych wielkich rozterek, kiedy to zgadzamy się na wszystko. Nie robiła więc żadnych trudności.

W trzy dni później pp. Traversot znikli; na scenę zaś weszła główna osoba tego dramatu, jakkolwiek najbardziej ukryta. Ale zanim wystąpi, kilka słów o tem, co ją poprzedziło.

Ksiądz Valfour, w swym liście do kolegi, nie przesadził, a nawet napisał za mało. Od drugiego spotkania, Anetka i René, olśnieni sobą, czuli, że ich życie jest złączone.

W rzeczywistości byli tak różni, jak różne jest morze i czysty basen w pięknym parku. W morzu gra światła źle się odbija, ale posiada w sobie moc ukrytą i stałą, jak opoka; basen zaś o piękności zwierciadła ogrzewa się przy najmniejszym promieniu i oziębia przy pierwszym białym śniegu. W każdym razie właściwością miłości i namiętności jest, że zniewala do chodzenia z zawiązanymi oczyma. Żadne z nich nie myślało nawet badać różnic, które ich rozdzielały; a potok ich unosił...

Następnego dnia wieczorem Anetka Traversot przestała być młodą dziewczką, która czeka przypadku, aby przyjąć formę zdecydowanie skończoną. Przedtem była posłuszna i zgadzała się na wszystko bez sprzeciwu i żalu; niespodzianie ujrzała w pełnym świetle jedyne, jakie jej przystoi, szczęście, zbliżające się ku niej; dodajmy do tego kogoś, o kim sama zdecydowała — że kocha.

Ze swej strony René, odczuwał niewypowiedziane wzruszenia pierwszych prawdziwych czułości i nagle upojenie z tego odkrycia. Poważnie myślał, że to, czego doświadczał, przez nikogo dotychczas nie było odczuwane; postanowił być posłuszny mocom boskim, na chwilę nawet nie chciał wierzyć, że matka będzie stawiać opór. On również postawił pierwszy krok, kochał lub raczej wierzył, że kocha.

Drogi prowadziły do wyznania. Najważniejsza dla was będzie wiadomość, że w czwartek drugiego tygodnia, kiedy René wyjechał do Paryża, ksiądz Valfour zjawił się w pałacu de Thil w charakterze posła. Jego chód, cała postawa, świadczyła o tem, że jedynym przedmiotem, który go tu sprowadza jest chęć dowiedzenia się czy oświadczy jego protegowanego zostaną przyjęte. W rzeczywistości już od wigilji tego dnia Anetka i René byli zaręczeni. Miłość drwi sobie z przeciwności; o ile się nagnie do komedji przyjętych zwyczajów, to już od tej chwili taki konwenans, jak zaręczyny, zainteresowanych wcale nie obchodzi.

Uważam za zbędne przytaczać tu rozmowę

księdza Valfour z panią Traversot; on już snuł wiele projektów na przyszłość, już widział i zezwalał, komu należało, na wszystkie przyszłe wypadki.

Czy to przez względy światowe, czy też rzeczywiście wahała się, dość, że pani Traversot przyjęła z rezerwą oświadczyzny księdza.

— Zanim zapytam córki, — oświadczyła — czy nie byłoby przezorniej dowiedzieć się, czy zgadza się na to pani de La Gilardiére?

— Zawiadomiona listownie, zjawi się wkrótce, — zawołał ksiądz.

— Doskonale! Odrazu wyjaśnia się wszystkie niejasne sprawy.

— Niejasne sprawy! Jakie, wielki Boże? Czy ma pani wątpliwości co do majątku?

— Nie.

— Co do rodziny?

— Ksiądz sam daje nam co do tego gwarancję.

— A więc?

— Więc oczekujemy tej pani.

Jako nagrodę, gdy ksiądz wychodził, Anetka, która na niego czatowała, przeprowadziła go przez cały dziedziniec.

— Księżu, — mówiła szybko — bardzo dziękuję, że przyszedłeś. Chciałabym, aby ksiądz wiedział, że cokolwiek się stanie, ja już jestem zdecydowana. Nikogo nie chcę obciążać troską w wyborze mego szczęścia.

— Nawet swej matki? — zapytał ksiądz.

— Ani jej, ani nikogo.

Zaledwie wyszedł na Rempart, inne spotkanie i ta sama piosenka.

— No i cóż? — pytał René, który śpieszył po wiadomości.

— No i cóż? uprzedź swą matkę, zależy na tem, aby przybyła jak najprędzej.

— Dobrze, będzie tu w ciągu tygodnia.

— A jeśli się opóźni?

— O czem myślisz, księżu? Ksiądz zapomina, że jestem pełnoletni?

— A tak, i ty także!...

I ksiądz wracał ze swego poselstwa zadumany. Po zdziwieniu, że miłość tak szybko zwraca dzieci przeciwko rodzicom, rozmyślał nad tem, że nie ma sposobu, aby było inaczej, skoro koniec naturalny rozdziela jednych od drugich...

Tego samego wieczoru René pojechał do Paryża.

Sami widzicie, jak do tej chwili wszystko było nagle i proste. Przechadzki marzących serc pod jasnym niebem, bez żadnych obaw. Należy drzeć, gdy szczęście zjawia się tak na zawołanie. Czyż nie bywa tak zawsze, że przed burzą, zachwycamy się czarem dnia letniego.

Odpowiedź pani Manchon spadła jak grom z jasnego nieba. Gdy René czytał jej list, uczucia jego zmieniały się i przechodziły od zdumienia do najwyższej pasji. Lekkość z jaką matka trakto-

wala to, co on sobie wyobrażał jako największe wydarzenie swego życia, wydawała mu się świętokradztwem. Po raz pierwszy zbuntował się i natychmiast pospieszył z odpowiedzią. Powołując się na to, że już nie jest dzieckiem, twierdził, że ma prawo wybrać, według swego upodobania kobietę, którą pojmie za żonę, nie prosi zatem, ale żąda, aby lepiej obznajmiona pani Manchon koniecznie przyjechała; oczekuje jej: nie opuści Semur, dopóki matka nie zdecyduje się przyjechać.

Takie rzeczy napisane nabierają olbrzymiej wartości, gdyż odczytuje się je i one pozostają. Jest bardzo możliwe, że gdyby René, zamiast pisać, sam pojechał i wypowiedział te same słowa, osiągnąłby może to, co chciał i wygrałby sprawę. Właściwością podobnych wypadków jest, że fałszywie postawione od początku nawet z biegiem czasu nie przestają podniecać.

Wrzuciwszy swą ostatnią odpowiedź, musiał René oznajmić w pałacu de Thil o opóźnieniu przyjazdu matki, ale nie podał prawdziwej przyczyny.

Z powodu lekkiej niedyspozycji — oznajmił.

— Przedwczoraj jednak nie zdawał się pan być tym zaniepokojony? — powiedziała pani Traversot ze złe ukrywaną złośliwością.

— Przedwczoraj nie o tem nie wiedziałem: mama często przemilcza to, co może mi sprawić przykrość. Wnoszę zresztą z tego milczenia, że nie jest to nic poważnego.

— Miejmy nadzieję, — odpowiedziała pani Traversot; — jakkolwiekbydź, aby nie dawać powodu do plotek, będę panu mocno zobowiązana, gdy do czasu przyjazdu pani de La Gilardiére wstrzyma pan swoje wizyty. Czy zauważył pan, że od jakiegoś czasu bywa pan codziennie?

Pozornie przyjął nauczkę, uklonił się... i nazajutrz przyszedł. Tylko, że nazajutrz, pani Traversot, jako przezorna matka, od rana wyjechała wraz z córką. Jakimś szczególnym trafem wyszukała kuzynkę w Dijon, dostatecznie chorą, ażeby nie odkładać wizyty.

Tegoż samego dnia Lapirotte wyjechała z Paryża, aby oddać przysługi swej krewnej i od tej chwili w Semur chór wchodzi na scenę.

Mówię chór: w istocie znajdujemy go w tragedji starożytnej, podobnego do osoby nieuchwytniej, wszystkowiedzącej i złośliwej, która roztrząsa, objaśnia, w razie potrzeby podpowiada i podsuwa radę zdradliwą lub puszcza w obieg błędne pogłoski, na zmianę — to nieczne, wyszydające, pobożne i zwycięskie, aż wkońcu zostaje sam przy rozstrzygnięciu sprawy. Bezimienna policja, jak utrzymywał Duclos. Tak, bezwątpienia, i jednocześnie znacznie więcej, gdyż w wypadkach, dotyczących się Reného objawia się ciągłość wysiłków, pewność bezkarności, takiej o jakich nie może być mowy w skupianiu przypadkowym lub głosach rozproszonych. Ktoś, stojący w cieniu, wyznacza kres, ktoś opowiada — lepiej niż mogą to zrobić sami zainteresowani — o wszystkim, co się dzieje w Paryżu przy ulicy Monsieur, lub w Semur, a nawet o przeszłości. Tylko, kto miałby chęć dociekać, gdzie to było, i nie wiem, jak szukać dalej i ponownie wracać, znajdzie u źródła — Lapirotte.

Naturalnie, nie chcę rozpoczynać ponownie opowiadania Duclosa, choć doszedłem do tego sa-

meo punktu; chciałbym tylko zaznaczyć to, czego on dostatecznie nie spostrzegł: owego umiejętnego stopniowania, i najwyższej sztuki, jaką okazuje chór — to jest unicestwianie wszelkich zamiarów Reného, z chwilą gdy go się o nie podejrzewało. Przedewszystkiem poddano w wątpliwość jego majątek; następnie zaczęto mówić dwuznacznie o odmiennych nazwiskach, jakie nosili obaj bracia i honorowość wystąpiła na plan pierwszy. Przywłaszczony tytuł niby pokrywa pewną wadę; nazwisko ma zabarwienie awanturniczości. I tak pomaleńku zgóry przygotowana opinia uznała za słusne posunąć się do rzeczy najważniejszej, aby zatrzymać Traversotów; popłynęła wieść o nieprawem urodzeniu Reného... Wszystko to, powtarzam, dozowane, podawane według pewnej metody, z dowodami pewności oznaczonemi niezwykle inteligencją. Do chwili wyjazdu państwo Traversot nie mieli jeszcze nic przeciw Renému, lub zaledwie niejaką niechęć do obcego. Gdy powrócili sprawa była przegrana, czego René nie mógł przewidzieć i zaledwie pani Traversot wysiadła, natychmiast w swej niezwyklej przezorności pobiegła do rejenta, dokąd wezwano ją gwałtownie.

Pojmujecie chyba, że taki splot wypadków nie mógł być nieświadomym wytworem, lecz przeciwnie — był wynikiem wyjątkowej woli? Czy zaczęliście już podejrzewać, że chór i jego postępowanie było spowodowane przez aktora, wymienionego przeze mnie przed chwilą? Później sam się zdradzi, a teraz zadowalajmy się podziwem dzieła i śpieszmy do ostatecznego wyniku nieprzewidzianego przez nikogo.

Pani Traversot po gwałtownej wizycie u notariusza, powróciła do domu z twarzą wzburzoną. Należała do tych kobiet, które nie umieją śmiało stawić czoła przeciwnościom. Skoro jakiś zamiar leży im na sercu wyobrażają sobie, że takie jest przeznaczenie, i zgóry wątpią w powodzenie. Niestety, wśród przeszkód przewidzianych, ta o której się dowiedziała, nie istniała wcale: była ona nieprzewidywana. Przepadło małżeństwo Anetki; rok zapowiadał złe zbiory, opuszczenie Anetki zagraża zaufaniu i wystawia na szwank wierzytelkę, słowem wszystko się wali w gruzy, teraźniejszość i przyszłość.

Na widok tak wstrząśniętej matki, napróżno Anetka usiłowała ją wybadać.

— Nic takiego, drobnostka, — odpowiedziała wymijająco, obawiając się natychmiastowego starcia, które zdawało jej się nieuchronne.

Chcąc oddalić Anetkę od przedmiotu jej miłości, należało go jaknajmocniej przygwoździć.

Zaledwie w godzinę później, René, który miał na oku pałac de Thil i wszystko, co się w nim działo, dowiedziawszy się o powrocie państwa Traversotów, przybiegł natychmiast; Anetka zaraz się ukazała.

— Nareszcie cię widzę!

Ale nie zdołała nic więcej powiedzieć. Pani Traversot również się pospieszyła i nie pozwalając nawet Renému przywitać się, rzekła:

— Pańska wizyta, drogi panie, bardzo dobrze wypadła: mam panu coś pilnego do powiedzenia.

Weszła do salonu, a za nią chciała wejść Anetka, ale wstrzymał ją gest matki.

— Nie, bez ciebie. Twoja obecność mogłaby nas krępować.

Anetka wtedy nieoczekiwanie nachyliła się ku matce:

— Cokolwiek będzie, pamiętaj, że zostanę jej żoną.

Nigdy nie wyrażała się z taką jasnością. Pani Traversot rzuciła jej spojrzenie pełne rozpaczy.

— Kto może zgadnąć co nam przyszłość przyniesie?

— Cokolwiek będzie, mój wybór dokonany.

René zdziwił się, że przyjmują go w salonie. Nie wchodził tam od pierwszego wieczoru, od owego proszonego obiadu; jakaż różnica w widoku szacunku i w przyjęciu. Dziś wszystkie meble okryte pokrowcami. Część ich zsunięta razem, okryta prześcieradłem wznosiła się na kształt katafalku; ani śladu ognia na kominku.

— Jakie są wiadomości od pańskiej matki? — zapytała pani Traversot po zamknięciu drzwi za sobą.

— Niestety! — wyjąkał René, zaskoczony tak brutalnym wtargnięciem w jądro sprawy.

— Zawsze cierpiąca?

— Obawiam się, że tak. Aby mnie nie niepokoić, nie donosi żadnych szczegółów. Zasadniczo wystarcza to, że nie czuje się w możliwości odbyć tej podróży.

— Ach! to bardzo przykre... to bardzo przykre...

Twarz pani Traversot zaczęła lodowacieć. René się zaczerwienił.

— Ależ to jest sprawa kilku dni załedwie. Dla mnie to czekanie jest równie przykre jak dla pani, ale czyżby pani miała mi jeszcze inną rzecz do powiedzenia?

Liczył na to, że odpowiedź będzie przecząca; nie nie przeczuwał.

— Inną rzecz?... W istocie, nie mogąc przyjechać, czyż matka pańska nie mogłaby napisać? Nasze oczekiwanie ograniczyłoby się tylko do trzech listonoszów.

Utkwiwszy oczy swoje w oczach Reného, pani Traversot czekała odpowiedzi, jakby z góry pewna była zaprzeczenia.

René musiał panować nad zakłopotaniem, gdy mu rzucono tę propozycję.

— Pani tak nie myśli; — zaczął — choć moja matka pokłada we mnie pełne zaufanie, będzie jednak pragnęła poznać Anetkę, zanim zgodzi się na projekty obowiązujące na przyszłość; nie zechce poprzestać tylko — słusznie czy nie — na listach.

Nie wiadomo dlaczego to zbyt długie zdanie i źle ułożone, brzmiało tak, jakby spadło w rozrzedzone powietrze. Słowa dzwoniły jak suche drzewo.

Pani Traversot zatrzymała się, nie wiedząc, czy ma ustąpić.

— A więc, drogi panie, — zaczęła niepewnym głosem, nie widząc dokąd nas to zaprowadzi. Z chwilą, gdy matka pańska nie może ani przyjechać, ani napisać...

— Ależ ona przyjedzie! — przerwał żywo René.

— Kiedy?

— Wkrótce!

Pani Traversot potrząsnęła uważnie głową.

— A jeżeli jabym panu powiedziała, że nie wierzę w ten przyjazd?

René podskoczył: czyżby dowiedziała się o opozycji matki i o tem, że skłamał o jej chorobie?

— Naprawdę, proszę pani, — jąkał się — nie widzę z jakich powodów...

Pani Traversot przerwała nerwowo:

— Z jakich powodów?... Mój Boże! robiłam sobie skrupuły, czy je panu wyjawic i nawet je przy sobie zatrzymam: ale zdaje mi się, że one same biegną po ulicy, jeszcze godziny niema od mego powrotu, a już mi je oznajmiono, tak, jak zresztą wszystkim. Żadnej trudności nie będzie pan miał z tem, aby się dowiedzieć, przypuścimy, że pan nie wie. Zapytuję, dowiaduję się, zbierz wskazówki, a jeśli nie jesteś zupełnie przekonany, pozwól przynajmniej, że skoro my jesteśmy uświadomieni, fakty te zmieniły obecnie nasze uczucia.

Powstała z twarzą lodowatą. René poczuł technienie uprzedzające katastrofę. Odpowiedział drżącym głosem.

— Rozumiem panią... jestto wymówienie domu. Bez zastosowania innej miary, nad tę, która może panią urazić, pozwalam sobie zapytać, czy mówi pani również w imieniu swej córki Anety?

— To jest już sprawa pomiędzy moją córką a mną i zupełnie pana nie dotyczy.

Westchnął.

— Trzeba jeszcze dodać, że ona również, jak ja, nie ma tych obaw, które pani żywi z powodu opóźnienia przyjazdu mej matki. Ośmielam się również zauważyć, że gdyby jej zapatrywania nie były nawet zupełnie zgodne z mojem, to jestem w tym wieku, abym mógł pominąć je, jako złe informacje.

Pani Traversot zaprzeczyła oschle.

— Wcale nie powiedziałam, że pańska matka nie zgadza się na to małżeństwo. Jestem nawet przekonana, że przeciwnie. Szanuję ją zato, że nie trudziła się przyjazdem, aby ze mną mówić o pewnych rzeczach... które zdarzają się w bardzo nawet szanowanych rodzinach. Co do pańskiej swobody działania wbrew jej woli, wątpię w nią dziś bardziej, niż kiedykolwiek.

Teraz René już nie rozumiał. Jeżeli zawsze wierzono w zgodność jego z matką, co miało znaczyć to zagadkowe powiedzenie? Załedwie przebrzmiały te słowa, być może już niezmazalne, zapanaował nad swym gniewem i, zwracając się, zapytał:

— To dostateczne, pani; zanim jeszcze jutro nastąpi, muszę przeniknąć tajemnicę, o której wspomniano tutaj: co do mnie, mam nadzieję, że pani wytłumaczy mi wówczas obejście się ze mną, na jakie chyba nie zasłużyłem.

— Tego sobie właśnie bardzo życzę, — dokończyła pani Traversot.

(d. c. n.).

(Przekład autoryz. Zofji Dygasińskiej-Wolertowej)